Ner 28. Kraków 17 października 1869. Rok IV.

KALINA wychodzi co tydzień (w Sobotę) w jednym arkuszu.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycja dla miasta Krakowa w księgarni **J. Czecha** hotel drezdeński i **F. Baumgardtena** w głównym rynku.
Listy należy adresować: do Administracyi Kaliny" — w Krakowie.

Nr. 28. — Epicharis (fragment historyczny) przez Henryka Filipowicza (dokończenie). — Przy studni (drzeworyt). — Pusty dom (wiersz) p. Władysława Ordona. — Pensjonarka, powieść Marka Wowczka (pani Markowicz), przełożył z ukraińskiego P. Stachurski. — Teatr, przez O...le. — Kronika. — Przegląd krytyczny, przez O...le.

EPICHARIS

FRAGMENT HISTORYCZNY,

przez

Henryka Filipowicza.

(Dokończenie).

Neron, jak łatwo się domyśleć, nie kazał sobie kilkakrotnie powtarzać denuncjacje, by uwierzyć jéj prawdziwości. — Wydał natychmiast rozkaz schwytania Scevina i przyprowadzenia go pod strażą przed swoje oblicze. Postawiony oko w oko ze swym byłym niewolnikiem a teraz oskarżycielem, Scevin choć nieprzygotowany, nie zdradził się ani słowem, i odpierał zarzuty przeciwnika z mocném na pozór przekonaniem swéj niewinności, obwiniając jego samego o podłe oszczerstwo i bezczelny fałsz. Gdy mu pokazano jego własny sztylet, odrzekł, że to jest przedmiot mający dlań wartość relikwii, jako pamiątka pozostała po jego przodkach, i że niewolnik ukradł go z jego sypialni.

— Co się tycze testamentu — mówił on — ja często go podpisuję, nie zważając na termina. Niewolników i poprzednio oswobadzałem, i dawniéj dawałem im podarunki. — Teraz zaś byłem bardziéj szczodrym, gdyż interesa moje są w krytycznêm położeniu; wierzyciele domagają się spłaty, bałem się więc o swój testament. Zresztą, ja zawsze wydawałem bogate ucz-



PRZY STUDNI.

ty, co mi nawet wyrzucają surowi sędziowie. — Lecz pomimo tak prawdopodobnego usprawiedliwienia się Scevina, w wyrokach historji widać było postanowioném, że na ten raz Neron ocaleje, a Rzym przejdzie okropną szkołę kaźni, by nowe społeczeństwo zawięzujące się w jego łonie, nie spotkalo oporu w stalowéj piersi potomków Katona, a dawni Sylle i Maryjusze, nie odrodzili się w synach szlachetnych Trazejów i Lateranów. Państwo Rzymskie miało runąć, lecz dlatego musiano wytępić patryotyzm, dobre genjusze cnót obywatelskich musiały ulecić z wiecznego grodu. Duch ich kołatał jeszcze do piersi niewiast, które wyrosłszy na łonie tego, wtenczas już znikczemniałego ludu, nie zapominały w szumie orgji, i na rozkosznych triclinijach, że matki ich były matkami Grakchów, że one mogły być żonami Brutusów. Lecz kobiet tych coraz ubywało, a ich miejsce zajmowały podłe i ambitne niewolnice. Epicharis, która umiała umrzeć za sprawę ludu, nie była nawet rzymianką.

Powtarzam, kobiety grały wtedy ważną rolę w życiu i polityce Rzymian. Całe panowanie Tyberyjusza Kaliguli, Klaudjusza i Nerona, były pasmem miłosnych i politycznych kobiecych intryg. Spisek Pizona jak widzieliśmy, był kierowany ręką kobiety, był również kobiecą intrygą; zdarcie zeń maski, było podobnież dziełem kobiety.

Milich, mówi Tacyt, był ślepo posłuszny swéj żonie. Widzieliśmy, jak za jéj rozkazem odkrył spisek Neronowi. Widzieliśmy jednak, że stary Scevin pozostał również jak Epicharis, wiernym dotąd swemu charakterowi. Lecz kobieta była przebieglejszą, i raz schwytawszy wątek intrygi, nie myślała o odwrocie. Odkrycie spisku, również jak sam spisek, było dziełem kobiety, i tym sposobem walka polityczna stronictwa z rządem, zamieniła się w śmiertelną walkę kobiety złéj i ambitnéj z patryjotką i uwięzioną.

Milich, jak poprzednio Prokulus, zmuszony był cofnąć swe zeznania. Wtedy jak utrzymują niektórzy historycy, żona jego zmusiła go, by nie zważając na zaparcie się Scevina, wymienił jeszcze kogokolwiek, zostającego w blizkich z nim stosunkach. Tacyt jednak mówi prosto, że żona Milicha sama stanęła jako oskarżycielka swego pana, i wymieniła Antonjusza Natalisa, który jak utrzymywała „miał ze Scevinem długą i tajemniczą naradę wczoraj wieczorem, i że obaj zostają w stosunkach przyjaźni z Kajusem Pizonem [1].“ Natalis został aresztowany, i gdy zeznania Scevina i jego pokrzyżowały się a prawdy od obydwóch dobić się nie można było, zakuto ich w kajdany, i zaczęto przygotowywać tortury. Dość było mówi jeden z historyków, samego widoku tych strasznych narzędzi, żeby zwyciężyć upór obwinionych i zmusić ich do przyznania się. Natalis zeznał pierwszy, i obwiniając Scevina, wplątał o niczém nie wiedzącego, i spokojnie żyjącego zdala od dworu Senekę.

[1] Tacit. 57.

Teraz nastąpił dla Rzymu szereg strasznych doświadczeń. Każdy obwiniony niejako zobowiązywał się dostarczyć ofiar Neronowi, i każdy dzień był świadkiem nowych morderstw politycznych.

Wśród téj trwogi namawiano Pizona, żeby odważył się na krok stanowczy, rozpaczliwy, ażeby odwołał się otwarcie do wojska. Lecz Pizon był typem ówczesnego rzymianina, i wolał otworzyć sobie żyły i podłemi pochlebstwami w testamencie zmiękczyć serce Nerona by niepozbawił majątku jego żonę.

Nakoniec Neron trzymał w swém ręku nić całego spisku. Nie dość mu znać imiona obwinionych, np. Natalis i Scevin nie wiele więcéj wiedzieli, zeznania ich musiały być nie takiéj donioslości, jak zamiary Epicharis, o których go poprzednio zawiadomił Prokulus; sam Cezar, udział ich musiał uważać za drugorzędny, nie męczył ich dlatego torturami, mniemając że od Epicharis dowie się czegoś więcéj, że najpierwszą i najważniejszą zdobyczą była. Lecz od niéj nie można się było nic dowiedzieć zwyczajnemi środkami. Wtedy przystąpiono do strasznych operacji tortury. „Lecz ani rózgi, ani ogień, ani wściekłość katów, że nie mogli przemódz kobiety, nie potrafiły zmusić jéj do wydania kogokolwiek. Tak przeszedł pierwszy dzień tortur. Gdy nazajutrz niesiono ją w krześle na nowe męczarnie, nie mogła iść o własnéj mocy na pokalecznych nogach, rozwiązała sznurek pod piersią, korzystając z roztargnienia niosących, zebrała ostatnie swe siły, drugi koniec przepaski zaczepiła o tylną poręcz krzesła, sama tymczasem opuściła się całym ciężarem swego ciała w dół, i że tak powiem, wydusiła z siebie już ulatującego ducha, zanim zdążyli podać jéj jakąkolwiek pomoc.“ Ta kobieta urodzona w niewoli, mówi współczesny historyk, dała świetny przykład, zostawszy wierną cudzym i prawie nieznanym jéj ludziom, w tak okropnych męczarniach, gdy tymczasem wolni obywatele, męże, jeźdźcy i senatorowie, na samą myśl o torturach, zdradzili najbliższych przyjaciół.

Tak skończyła bohatersko, ostatnia obywatelka Rzymu cezarów. Nie śmiemy nic dodać do tego tragicznego opisu kronikarza. Każdy obywatel, każda obywatelka, we własném sercu, zakrwawioném klęskami ludów, oczekujących wielkich charaktarów, napisze jéj panegiryk...

PUSTY DOM.

Ulewą liście spadają jesienne,
W kominie świerszcz się samotny odzywa,
Krople po dachu, jakieś ciężkie, senne
Tętnią i szepcą głosy zmięszanemi
Łzawe dobranoc konającéj ziemi.

Bielone ściany poczerniały smutnie,
Ponuro patrzy się bezsenne łoże,
Białe lewkonie schylone pokutnie
O promień światła proszą słońce boże,
I więdną, ciche. A przez okien cienie
Patrzą w głąb' domu: Pustka i zniszczenie.

Cicho tu, niby samotnie, a głosów
Nierozeznanych szumi wkoło burza,
I ćma widziadeł bladych się wynurza:
Przychodzą z ziemi, przychodzą z niebiosów,
A wciąż się cisną, wciąż podchodzą blisko,
Aż mnie w bezmierne objęły kolisko.

Więc jedna ziemska odezwie się mara:
Jam jest Zwątpienie, towarzyszka tobie.
Niebieska druga rzecze: jam jest Wiara.
A ziemska inna: jam sen wieczny w grobie
Bez zmartwychwstania; i znów głos daleki —
A jam jest Miłość, żywot aż na wieki.

O! znam was goście! Życie mi dawało
Światło i cienie — ja wybrałem cienie,
Dawało wiarę — ja wziąłem zwątpienie,
Dawało życie — serce śmierć wybrało;
Wiara i miłość poszły precz za wrota,
A dom mi pustką został się — sierota!

I cóżem dostał w zamian za was, goście,
Zdradliwą roskosz badania człowieka,
Widziałem duchy — a badałem koście;
Kość, to już człowiek! wołałem Eureka!
Aże poznałem duszy méj morderca,
Żem i własnego nawet nie znał serca!

O serce ludzkie, przepaści bezdenna,
Tyś jako wulkan, co wre w ziemi łonie:
Pulsów dotyka ręka wiedzy ciemna,
Na ziemię patrzą mędrców zgasłe oczy
I nic nie dojrzą. A wtém moc tajemna
Wyrzeknie: stań się i . . . grom się potoczy,
Wulkan wybuchnie i serce zapłonie!

O kochać, kochać! kiedy oczy zmrużę,
Czuję woń słodką, co sieją jéj włosy,
Przez ramię moje patrzą oczy duże,
Ja w myśli pieszczę strumienie téj kosy,
W oczy się patrzę, aż dzień spłoszy cienie,
I czuję ducha Pańskiego zstąpienie.

(Dokończenie nastąpi).

PENSJONARKA.

Powieść ***Marka Wowczka*** (pani Markowicz),
przełożył z ukraińskiego **P. Stachurski.**

I.

Ludzie dziwią się że ja wesoła. Myślą: biedy, licha nie znała . . . A ja taką już byłam od urodzenia. Ródź się, powiadają, ale miéj swadę! . . . Bywało: biją mnie (Bodaj nie wspominać!) nie wstrzymam serca, zapłaczę... a rozmyślę nieco, i znowu się śmieję! Bywa licho, co płacze; a bywa i takie które skacze; tak też i moje biedowanie! . . . Gdyby mi płakać każdéj rzeczy, jużbym oczy wypłakała. Ojca, matki nie pomnę; sierota, wyrosłam u obcych, u nieznanych ludzi. Chociaż nie było spraw ważnych, a zapominali o mnie: czy ja-m nie głodna, nie przeziębnięta, czy żyję? . . .

Dziesięcioletnią wzięto mnie do dworu. Pani była dość sobie spokojna, może dlatego, że i lata były potemu: ledwie nogi włóczyła; a gdy przemówi, to tylko szam, szam . . . i nie zrozumiesz na razie! A gdzie już jéj do bicia, ani myśleć! Dzień cały w ganeczku . . . noc się zbliża — ocha i stęka. A za młodu, powiadają, miała *swoje*. . . ale kiedyś przestać przecie trzeba!

Za moich czasów, to żyliśmy we dworze spokojniutko. Jedno było licho, że ze dworu nogą ruszyć nie wolno. Chyba że na wielkie święto wyprosimy się do cerkwi; a w niedzielę, ani myśleć.

— Rozwłóczycie się—bywało, mowi pani z gniewem. — Nie puszczę! Nie takie jeszcze lata wasze, by się naprzykrzać Bogu. . . macie dość czasu, nie zaraz do śmierci!

A jak czasami to bywało, weselimy się nie wiedzieć dla czego. Weselutko nam aż serduszko trzepocze! Gdyby wolno, zaśpiewałby tak, by echo aż do wsi się dostało, aż piecze! . . . ale cóż poradzisz? . . . Bogu dzięki, że chociaż nie biją po razy dziesięć na dzień, jak to słyszymy, u innych! . . .

Siedzimy, bywało, dzień, jak dzień, w garderobie, i pracujemy. A cicho wokoło ciebie jak zaczarowano. Tylko pani zastęka; albo która z dziewcząt powié do ucha czego jéj potrzeba, a inna westchnie z nudów. Przykrzy się bywało ta robota, przykrzy. . . Ale nie mamy odwagi! Popatrzymy na siebie, taki nas śmiech zbierze... Ta brwią mrugnie, a ta jéj odmrugnie . . . . Tamtę przywiążą do stołeczka za kosy . . . Inna skoczy i dalejże tańczyć! a cicho, żeby pani nie posłyszała . . . kręci się, wierci, tylko rękawy powiewają . . . Co też bywało nie wyrabiamy!

U naszéj pani nie było żadnéj rodziny. Miała tylko wnuczkę, uczyła się w Kijowie, w jakimś tam . . . ot, nie wymówię . . . in-sty-tu-cie. Bywało często przysyła listy do staréj; a ona te listy codzień odczytuje, naplacze się nad nimi i naśmieje . . . Aż tu jakoś pisze wnuczka, by po nią przyjechać i zabrać już do domu . . . Matko Bo-

ska! cały dom w ruchu: bielić, prać, przystrajać! Panienki się spodziewamy! przyjedzie panienka!

Starsza pani jak gdyby ozdrowiała: chodzi z pokoju do pokoju, przez każde okno patrzy na drogę, i nas za wieś wysyła patrzeć: czy nie jedzie panienka? A nam tego potrzeba!

My przez ten tydzień, w którym jéj spodziewano się, można powiedzieć, nażyłyśmy się! Posyłają, biegniemy, lecimy radośnie ujrzeć step, piękne pola!... Step zielony, jakby uciekał ci z przed oczu, kędyś daleko, daleko... Rozkosz oddychać na swobodzie.

Bywało, narwiemy kwiatów, głowę poubieramy, i jak panny młode do samego dworu pysznimy się temi wiankami! A wchodząc do dworu porwiemy je z siebie, pozarzucamy... A taki żal było rzucać te wianuszki, taki żal!

II.

Doczekaliśmy się panienki, przyjechała. Ach, jaka śliczna na twarzy! I jak się ona taką urodziła? Zdaje się, anibyś namalował takiéj *krali!*

Stara jak ją objęła, i z rąk nie puszcza; całuje, pieści i zachwyca się. I po pokojach oprowadza, wszystko pokazuje, wszystko rozpowiada... A panienka tylko się obraca to na tę, to na tamtę stronę, i ciekawém okiem patrzy na wszystko!

Posadziła ją stara za stołem. I płacze, i cieszy się, i wypytuje, i częstuje... „Możebyś to jadła? możebyś to piła?" Jadła, napojów ponastawiała, sama usiadła koło niéj, ani się napatrzy! A panienka, jak ten wróbelek wszystkiego skubnie potroszeczku.

My, z za drzwi patrzymy na nich i słuchamy: co to panna mówić będzie? Czy nie dowiemy się jakie tam jéj myśli, chęci, zwyczaje i swada?

— Jakże ci się tam żyło saméj, moja gołąbko — pyta stara. — Nic mi nie mówisz...

— Ach babciu! o czém tu mówić! Wszystko takie nudne!...

— Uczono wiele?... Czegóż cię nauczono? koteczko!

— Jest téż o co pytać! Dobrze tu babci było na swobodzie; a co ja wycierpiała z tą nauką!... Proszę mi o tém nawet nie wspominać!...

— Gołąbku-ż ty mój!.... Wiadomo, obcy ludzie! krzywdzili cię bardzo!... Czemużeś ty mi zaraz o tém nie doniosła?

— Co ci? babuniu! Jakże można?... Zaraz się dowiedzą!...

— Sierotko ty moja! Powiedz-że mi, jak cię tam krzywdziły te dusze niewierne?

— Och babuneczko! i dręczono i męczono nas samemi głupstwami! I tego się ucz i tego, piąte i dziesiąte!... Tłucz, tłucz i tłucz jeszcze!... Do czego mi się przyda wiedzieć: jak tam gwiazdy krążą po niebie? albo jacy są ludzie za morzami, i czy tam u nich źle dzieje się czy dobrze?... Mnieby wiedzieć tylko, jak się pokazać pomiędzy ludźmi...

— To już téż na coś uczą się ludzie, moje złotko! Ot, i nasze panienki, bieda, ubóstwo... a paplają po francuzku...

— Eh, babuniu! — zaszczebiotała panienka. — Do francuzczyzny i do muzyki brałam się i ja chętnie, do tańców również. Co trzeba, to trzeba!... Na to każden zwraca uwagę, i każden pochwali... A reszta, tylko strata czasu! Ucz się i zapomnij! I dla tych co uczą — nudy! i dla tych, którzy się uczą — nie dobrze! Wiele czasu marnie straconego!

— Jakże to?... Źle uczą?

— Mówię babuni, że nudnie, i źle, i nadarmo! Oni o tém tylko myślą, by im dano pieniędzy; a my znów, jakby szybciéj wydostać się na swobodę... Czegoż się babcia tak zadumała?

— Myślę nad tém, moje serce, że pieniądze za ciebie brano piękne, a uczono Bóg wié jak! A co, gdy ty w końcu wszystko pozapominasz.

— Czy to podobieństwo, babuniu! Bóg z tobą! Jakże pomiędzy gośćmi, wśród wizyt, zapomnieć muzyki, tańców, albo języka francuskiego?... A co do tych zamorskich wymysłów, to ja słuchałam je jedném uchem a wypuszczałam drugiém... i nie umiem tego wcale! Niech go tam!...

— A jeżeli kto zapyta cię kiedy: jak tam te gwiazdy chodzą po niebie, albo co innego?... Ludzie zaraz obmówią: uczyła się, a nie umié!

— Co ci? babuniu!... To ja tylko babci przyznałam się, że nie umiem, a inni póki życia nie dowiedzą się o tém, choćby przez cały dzień egzaminowali!... Ja się ze wszystkiego wywinę, i jeszcze ich zawstydzę. Tak, babuneczko! Chcesz? Zaśpiewam ci. Posłuchaj!

I zaśpiewała, a głos jak srebro dźwięczy.

Stara ją ściska: „Serce moje! pociecho moja!"

A panienka łasi się i prosi:

— Nakup mi babuniu sukien nowomodnych a pięknych!

— O to się nie troszcz, moje dziecię! Będziesz miała wszystko! Ty u mnie będziesz królową nad pannami!

My dziewczęta tylko się patrzymy: Czego to tam nie nauczono naszéj panienki?... a najwięcéj podobno, ludziom głowy zawracać...

III.

— Pójdźmy, gołąbko — powiada starsza pani. — Chcę, byś sobie wybrała którą dziewczynę.

I prowadzi ją do nas.

My z pod drzwi do kącika zbiłyśmy się gromadką, i czekamy.

— To wasza panienka — mówi do nas pani. — Całujcie ją w rączkę.

Panna spojrzała na nas, czy nie spojrzała, wyciągnęła obie ręce, by je całować.

Stara każdą z nas pokazuje. To Handzia, to Basia, a to Domicela.

— Boże-ż mój! — krzyknęła panienka i klasnęła w ręce. — Czy potrafi z was która uczesać mnie, usznurować?

Stoi, ręce założyła i patrzy na nas.

— Dla czego! — powiada stara. — Potrafi, serduszko! A jeśli nie, to nauczymy.

— Jak ci na imię? — zwróciła się do mnie panna — i nie słuchając odpowiedzi, do pani: Ta będzie moją!

— To i dobrze. Jaką zechcesz, serce. Niech będzie i ta. Pamiętajże Guściu! — rzecze do mnie — służ dobrze; panna będzie na ciebie łaskawą.

— Chodźmy już, babuniu! Dość już — przerwała jéj panna. Sama skrzywiła się, pochyliła na bok, i oczy czegoś mruży i z miejsca się zrywa, zupełnie jak kot, gdy go okurzają dymem z fajki!

— Trzeba-ż, koteczko — powiada stara — nauczyć ją wszystkiego, bo to ciasne głowy! Ja to jéj powiem, ty co innego, to się do wszystkiego włoży!

— Szkoda babciu, że ich pierwéj nie uczono... Teraz kłopot! Trzeba było którą oddać do miasta.

I mówią ze sobą jak o koniach albo o czém innéin.

— Oj Guściu! — troszczą się dziewczęta. — Jak to ci tam będzie, że ona taka coś od serca?...

— A cóż, powiadam, dziewczęta! Troski nie wyminiesz, od doli nie ucieczesz. Jak będzie, obaczymy.

I zadumałam się, jak one.

IV.

Wieczorem wołają: „Idź do panienki, rozbierać!“

Weszłam, a panna już stoi przed lustrem, i wszystko zrywa ze siebie.

— Gdzieś to była?... Prędzéj, rozbierzj! Prędzéj... chcę spać!

Rozbieram, a ta wciąż pokrzykuje:

— A prędzej-że, prędzéj!

Rzuciła się na łóżko. — Zrzucaj trzewiki!... a umiész ty włosy zawijać?

— Nie, nie umiem.

— Boże mój! biada-ż moja! jaka-ż ona głupia!... Idź sobie!

Dziewczęta już czekają na mnie. „A co, Guściu! co? siostrzyczko! jaka ona? gołąbko!“

Co im odpowiedzieć?

— Głupia ja, powiadam, dziewczęta! bo nie umię włosów zawijać!

V.

Nazajutrz raniutko przebudziła się nasza panienka. Umyła się, ubrała, obiegła zabudowania, całe podwórze, i w ogrodzie była. Taka wesolutka:

— W domu jestem, w domu! Wszystko mi wolno!

Całuję starszą panię i co chwila zapytuję: — Czy prędko pojedziemy z wizytą? babuniu! Kiedy będą u nas goście?...

— Niechże się pierwéj sama nacieszę tobą, moja ptaszyno! Niech się na ciebie napatrzę!

— Ach, kiedyż się ja doczekam? babuniu! Ja tylko o tém myślałam: przyjadę do domu, będzie wesoło, ludnie, muzyka, tańce... Babunia luba, droga!

— No dobrze, dobrze, pieszczoszko! Niech się tu trochę przygotujemy, a wtedy gości nasproszam.

Zaczęło się to porządkowanie. Stara każe wynosić skrzynie; wyciąga aksamity, jedwabie.... kraje, przymierza na panienkę. Panna aż podskakuje, aż czerwinieje z radości. To do jednego lustra skoczy, to w drugie spojrzy.

Weźmie szklankę wody, to i w niéj rozkoszuje się, że taka jest piękna.... Zaplecie kosy, rozplecie.... To wstążkami przewiąże, to w kwiaty się ustroi...

— Ach, babuneczko! — bywało wykrzyknie — kiedy ja już ubiorę się w suknię atłasową!...

— Po zaręczynach, moje dziecię! — odpowiada stara — Wydam cię za księcia, albo za hrabiego, albo za wielkiego bohatera!...

A panienka już i głowę w górę nosi, i mówi, jakby była jasną księżniczką...

Tyleż też między niemi i mowy było, co o książętach i jasnych panach!... Bywało: już się i do ślubu przygotują, i pałace pobudują piękne, i konie wrone powprzęgają... Marzą tak, dogadują... Panienka westchnie:

— Cóż z tego babciu! Tylko mówimy... A nikt jeszcze nie był u nas dotychczas!...

— Ależ bo poczekaj nieco... Najedzie tego, że się dusić będą!

VI.

Najeżdżało-ż się gości, jak na jaki odpust! Jedni do dworu, drudzy z dworu!... Niema dla nas ani snu, ani spoczynku: biegamy, posługujemy, kłopoczemy się od świtu do nocy... Czasami taka ich gromada przywali, że dziwimy się: jakich pomiędzy nimi panów niema?!... Wszystko to śmieje się, tańczy, je, pije; wszystko to hulaszcze, a takie wypieszczone!.... Niejedna jejmość w drzwiach się nie mieści! A paniczów wielu to u nas minęło się!... Rojem uwijają się koło naszéj panienki, huczą jak czmiele!... Nie minęła, ponoś, ona żadnego... do kogo słowami, a do kogo brwiami! Tego łaskawie pyta o zdrowie; przed tym skarży się, że bez niego czegoś jéj smutno i tak jakoś... Tego koło siebie sadowi, jakby krewnego!... Biedacy, porozkochiwali się, aż wreszcie poszaleli całkowicie: zmizernieli, schną.... Co dnia przyjeżdżają do nas; jeden drugiego wyprzedza, a zezem z boku nakrywa!... Czy tak im ona do serca

przypadła, czy już nie mieli nic lepszego, dość, że jak muchy do miodu — lezą i lezą!... Bo i czemże się im zająć innem? jak uprzyjemnić młode lata? Zjeść dobrze, wypić lepiéj, ubrać się pięknie — a więcéj co?...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teatr. — („Solidarność“ p. *Scribego*, „Safanduły“ p. *Sardou*, „Zbójcy“ p. *Schillera*, „Klucz Metelli“ p. *H. Meilhac* i *L. Halevy*, „Gapiątko z St. Flour“ p. *Bayard* i *Lemoine*, „Mąż za drzwiami“ p. *Offenbacha).*

Po przedstawionéj na dochód rodziny ś. p. Syrokomli wybornéj, z prawdziwie błyszczącym talentem napisanéj komedji p. t.: „Poświęcenia“ p. *Narzymskiego* i *Sabowskiego*, nastąpiła serja przedstawień wyborowych sztuk codzoziemskich autorów, podczas których mieliśmy nową sposobność przekonania się, że scena nasza niepospolite posiada siły. Dla obfitości materjału treści sztuk podawać dziś nie będziemy, a ograniczemy się tylko na wzmiance, że w komedji *Scribego* „Solidarność“ obok piepwszorzędnych naszych artystek, występowała w większéj cokolwiek roli młodsza panna *Górecka* i obudziła w nas przekonanie, że obok pięknéj powierzchowności posiada również zarodki niemniéj pięknego talentu, który biorąc wzory z takich artystek jak pp. Aszpergerowa, Parżnicka, Hoffmann i Nowakowska, kształcić będzie się zapewne starała. Na początek pozwalamy sobie upewnić p. G. że naturalność oparta na głębokiem zrozumieniu roli, jest główną zaletą artystki, że zatém wystrzegać się powinna wszelkich sztywnych ruchów i robienia grymasów ustami, te bowiem nie zastąpią ani wyrazistości głosu, ani gry fizjonomii.

Z pomiędzy ról męzkich wykonanych jak zwykle z precyzją, odznaczała się rola Bernardeta, odegrana przez p. *Nowakowskiego* z niezrównaną elastycznością i przejęciem się różnorodnemi sytuacjami w jakich się trzpiotowaty doktor znajdował. Oddajemy mu tym chętniéj zasłużone pochwały, ponieważ p. N. wystrzegał się tą razą nosowych tonów.

Typowe role z komedji p. *Sardou* „Safanduły“ (Les Ganaches) rozdane były i odegrane bardzo umiejętnie, tak, że zacierały się pod wyborną grą liczne wady, któremi autor w drugiéj mianowicie połowie sztukę swoją wyposażył.

Niepodobna jest każdą razą powtarzać imienne pochwały znanym z talentu naszym artystom, wymienimy więc dzisiaj tylko p. *Fiszera*, który doczekawszy się raz przecie stosownéj dla siebie roli, mógł dowieść, że przy małym nawet talencie a wielkiéj usilności potrafi on wyrobić się w szczupłym lecz użytecznym fachu ról młodych trzpiotów i łotrzyków.

Jeżeliby Safanduły miały być jeszcze na scenie naszéj przedstawiane, to pozwalamy sobie zwrócić uwagę p. *Bendy* (margrabia de la Rochepéans) że oprócz stroju nie znaleźliśmy po jego powrocie z Paryża żadnéj w nim różnicy, a przecież z odmiennym teraz sposobem zapatrywania się powinien Margrabia zmienić również swoje ruchy i humor... Wszak prawda?

Role kobiece nic nie zostawiły do życzenia. Rozalia de Forbac pani *Ekerowéj*, owa stara panna z musu a dewotka z następstwa, uprzytomniała pełną prawdy i werwy grą te smutne postacie, te prawdziwe plagi rodu ludzkiego w całéj ich śmiesznéj staropanieńskiéj ohydzie, co zaś do Małgorzaty pani *Nowakowskiéj*, to przyznać należy, że odniosła ona stanowcze zwycięztwo w obec publiczności, pamiętnéj na grającą tęż samą rolę p. Modrzejowską. Grzmot oklasków, do których niecierpliwie oczekującą publiczność p. N. grą swoją pociągnęła, wystarczy jéj za wszelkie pochwały recenzenta, którego ręce były także w robocie, prosimy jednak o więcéj naturalności, o więcéj przejęcia się naturą położenia w chwilach dramatyczniejszych przejść, o więcéj ciepła, na którym przecież tak młodéj artystce zbywać nie powinno.

— O przedstawieniu tragedji *Szyllera* „Zbójcy“ wiele bardzo mielibyśmy do powiedzenia, szczupłość miejsca jednak zmusza nas do ograniczenia się na paru ogólnych uwagach, które zarówno artystów naszych jak i reżyszerją dotyczą.

Przedewszystkiem należy pamiętać, że pierwsze to dzieło Szyllera, aczkolwiek ani w pomyśle ani w wykończeniu zbyt głęboko nie zaszło, to przecież dotykając i drażniąc najgwałtowniejsze namiętności jakie tylko w łonie człowieka powstać mogą, zostawia niezmiernie obszerne pole twórczości występujących na scenie artystów. Ztąd to powstały przeróżne metody oddawania głównych ról téj tragedji, i to właśnie tłumaczy nam przyczyny, dla których „Zbójcy“ na scenie niemieckiéj dotąd jeszcze licznych widzów zwabiać nie przestają. Role obu braci Moorów i Amelii doszły na scenie niemieckiéj do takiego stopnia doskonałości, że o żadnych porównaniach mowy być nie może i nie powinno, mimo to jednak nie możemy zgodzić się z jednym z naszych kolegów, aby rola Franciszka Moora była jedną z lepszych kreacji p. Rapackiego. P. R. jest bez wątpienia myślącym i niepospolitym talentem obdarzonym artystą, czego dał dowód w rolach nierównie trudniejszych, nie sądzimy zatém aby nam wziął za złe, jeżeli mu powiemy, że w pierwszéj zaraz scenie z ojcem nie starał się o właściwe cieniowanie swojéj roli. Do ojca mówi wprost, starając się pozyskać go dla siebie słodyczą i siłą przebiegłego a chytrego sposobu przedstawienia rzeczy, mówiąc zaś na stronie myśli tylko głośno — tam słowa jego są maską, tu zaś właściwą myślą, która widzów zgrozą przejmuje, jest to wielka i bardzo trudna do wykonania różnica. W scenie wyrzutów sumienia, przeczuwanie kary i refleksji nad przyszłością w ostatnim akcie, z grą p. R. również zgodzić się nie możemy. Opowiadanie snu jest środkiem ciężkości nietylko téj znakomitéj sceny, ale i końcowym punktem rozkładu wewnętrznego Franciszka, a tacy artyści jak np. Devrient, Klaeger, Gutmann i inni, wszystkie swoje siły w téj właśnie

scenie zużywają. Nie tyle tu idzie o wymowę, ile o grę muskułów twarzy i ruchy całego ciała, sen zaś opowiada się służącemu nie siedząc, lecz na przodzie sceny stojąc.

Zresztą gra p. R. mało zostawiała do życzenia, a w niektórych ustępach, jak np. w scenie ze szpadą, z zemdlonym ojcem i przy słowach: „ja chcę żeby go nie było“ była ona znakomitą.

Wdzięczną rolę Karola Moor odegrał p. *Benda* bardzo dobrze z wyjątkiem sceny w gospodzie, do którój powraca po przeczytaniu listu od ojca.

Pod wpływem burzącego wszystkie nadzieje tego listu wchodzi Karol Moor do gospody zupełnie machinalnie, nie posiadając świadomości ani miejsca, ani otoczenia, skupił się on na wewnątrz w rozpaczliwej boleści, i pogrążony jest całkiem w refleksji nad groźnem położeniem. Mowa jego jest tutaj myślą tylko, nietylko zatem gwałtowną ale nawet głośną być nie może, co jednak nietylko nie przeszkadza ale pomaga do efektownego cieniowania. Pan Benda powinien podnieść głos w chwili dopiero kiedy zgromadzeni w gospodzie koledzy z zadumy gwałtem go wyrywają, intonacja jednak i w tym razie fałszywą będzie, jeżeli podnoszenie głosu stopniowania nie zachowa.

Pani *Nowakowska* wywiązała się ze swéj roli zadawalniająco i w najtrudniejszych nawet miejscach żadnego wybitnego nie popełniła błędu, co zaś do p. *Ładnowskiego* to dla gry jego dość pochwał znaleść nam niepodobna. Trudno nam również oddać dość dobitnie zasłużony hołd wszystkim naszym artystom biorącym udział w ostatniém przedstawieniu złożonym z trzech małych ale nader eleganckich komedji.

„Klucz Metelli“ p. *H. Meilhac* i *L. Halevy* był niejako mistrzowskim kwartetem wykonanym przez takich artystów jak pp. *Benda* (Margrabia de Volsy), i *Ładnowski* (Gautran de Vorin), pp. *Nowakowska* (Joanna de Volsy) i *Hoffman* (Ludwika).

„Gapiątko z St. Flour“ p. *Bayard* i *Lemoine* dało nam poznać wszechstronność talentu p. *Parżnickiéj* (Helena de Balainville), która dawszy już dowód wysokiego ukształcenia i głębokiego przejęcia się rolą w dramacie, kazała tą razą podziwiać swoją elegancją, lekkość połączoną z gracją i nadobność postaci; sądzimy jednak, że role dramatyczne i charaktery wyższego zakroju z talentem jéj i usposobieniem więcéj harmonizować będą.

Panie *Borkowska* i *Rapacka* miłym swoim śpiewem i grą w operetce Offenbacha „Mąż za drzwiami“ pozyskały zupełne uznanie publiczności i huczne oklaski. — A mazurek odśpiewany przez p. *Borkowską* brzmiał rzeczywiście bardzo mile w uszach słuchaczy.

---

a. δ. **Kronika**. — *Raz jeszcze pierniki. — Raz jeszcze sprawa Barbary Ubryk, któréj Moskwa nie bierze do serca. — Nasi dyplomatyczni protektorowie.*

Prędzejbym się, jak to mówią, śmierci spodziewał, niż tego, że wzmianka w 26 Nrze „Kaliny“ o piernikach p. L. wywoła tak straszną burzę i przyczyni się do utraty jednego prenumeratora. Ha! cóż robić?! Nateraz cieszyć się musimy tą jedynie nadzieją, że pan L. poczuwając się do wdzięczności wrodzonéj człowiekowi — zaprenumeruje na miejsce p. M. „Kalinę“ i w miléj zgodzie żyć z nami będzie, przynajmniéj podczas każdego jarmarku.

Miłując jednakże świętą zgodę i pokój europejski nadewszystko, mamy nadzieję, że p. M. do załączonego w liście cennika, dołączyć raczy i *próbki* swoich królewskich pierników. A tym sposobem *przekonawszy* kronikarza „Kaliny“ o prawdzie słów wypisanych tak zrozumiale i jasno w liście do Redakcji, otrzyma niezawodnie sumienne świadectwo, i pierwszą pochwałę uznania z naszéj strony. Dopóki jednakże słodycze p. M. nie rozpłyną się w naszych ustach, usta te milczeć będą zawzięcie, choćby sam cesarz Napoleon z całą dostojną swoją rodziną dał palmę pierwszeństwa królewskim piernikom szanownego a byłego naszego sąsiada.

Wypowiedziawszy w ten sposób rodzaj poglądu naszego na kwestją pierników krakowskich — przechodzimy do porządku dziennego.

Po owych gorączkowych uniesieniach i agitacjach krakowczyków nad sprawą p. Barbary Ubryk, cisza i milczenie grobowe zapadło. Taki to zwykle los wszystkich spraw tego świata . . . I my nie podnosilibyśmy téj kwestji dzisiaj, gdyby nie fotografie nieszczęśliwéj zakonnicy rozprzedawane na jarmarku. Nie wiemy, czy reprodukcje podobne wpłynąć mogą na moralność, i czy jest kto, coby z obowiązku swego czuwał nad nią. W każdym atoli razie podziwiać należy fantazją Niemców, których zwykle najwięcéj to obchodzi, co może przynieść nam jaką krzywdę. Nie chcąc obrażać na siebie kodeksu z paragrafami, nie powiemy że i Moskwa mogła tam coś ze swoich rubli przysłać wprost z Petersburga, owemu artyście, co tak gorliwie zajmuje się sprawą naszych klasztorów . . . Ale *si fabula vera*, podobno byłoby to bardzo dyplomatycznie z jéj strony.

A kiedy znaleźliśmy się na dyplomatycznym torze, jak mówi pan Dziszewski w „Radcach“ Bałuckiego, to wypada nam także przynajmniéj podać do wiadomości ciekawego ucha, że we Lwowie jeden z książąt przyjmował sławnego naszego artystę Jana Matejkę objadem. — Lwów, który tyle razy krztusił się z oburzenia, ilekroć Krakowowi pośliznęła się noga, podobno żałuje mocno, że go dyplomacja księcia w tym względzie ubiegła, a książę żałował znowu mocno, że solidarność nie pozwalała złożyć artyście podobnych dowodów uznania za poprzednie jego dzieło, pod tyt.: *Rozbiór Polski.*

PRZEGLĄD KRYTYCZNY.

(Komedje *Jana Stożka El...y:* „Gałązka Heliotropu“ i „Walka stronnictw.“ — „Kraków w obec Polski i jego Su-

kiennice, oraz słowo o bramie Florjańskiéj" p. *Józefa Kremera*. Kraków. W drukarni „Czasu." 1870).

Można być znakomitym bardzo poetą a słabym bardzo dramaturgiem, można wznosić się na skrzydłach fantazji w niebiańskie przestwory i siać ztamtąd odżywcze ziarna najwznioślejszych uczuć, najgłębszych myśli, a nie umieć stąpać po ziemi, dotykać się pewną ręką normalnych pulsów życia, patrzeć z uśmiechem spokoju na codzienne śmieszności, uprzedzenia, i wszystkie te wady, które przeniesione z gorącego uczynku na scenę, skutkują nierównie lepiéj i prędzéj aniżeli najpraktyczniéj nawet ułożony system filozofii moralnéj.

Czasy w których żyjemy, i społeczeństwo pośród którego się poruszamy, dostarcza nieocenionych materjałów do komedji, publiczność to rozumie, i stawia dlatego ze swéj strony inne zupełnie aniżeli dawniéj wymagania. Publiczność chce się widzieć na scenie taką jaką jest w rzeczywistości; gotową jest ona śmiać się ze swych własnych zboczeń, litować się nad wielu brzydkiemi wadami, przechodzić nawet przez rózgi ironii; ale z drugiéj strony pragnie ona czystéj przedmiotowéj prawdy bez naruszania subtelnych jéj granic choćby najlżejszą nawet karykaturą, i uzmysłowienia ubarwionego nieustannym ruchem życia z całym zasobem delikatnego humoru, którego ani sentencjonalną deklamacją, ani przesadną komiką zastąpić niepodobna.

Zadośćuczynienie tego rodzaju wymaganiom, jest bezwątpienia bardzo trudne, a dzisiejszy komedjopisarz odznaczać się powinien nietylko wszystkiemi zaletami gruntownego psychologa i wytrawnego znawcy najsubtelniejszych odcieni towarzyskiego życia, ale do znawstwa tego łączyć winien elegancją słowa, bystrość i giętkość akcji, jędrną żywość djalogu, misterny układ intrygi, i ów błyszczący, lekki dowcip, jaki tylko sama natura daje.

Komedjopisarstwo jest w swoim rodzaju osobnym zupełnie specjalnym talentem, który znakomity nasz poeta El...y Stożek w nizkim tylko posiada stopniu.

Komedja jego p. t.: „Gałązka Heliotropu" jest bardzo mile dającą się czytać, wytwornym wierszem napisaną bluetką — niezwykłe jednak u tego poety zimno i monotonija niemało przyczyniają się do osłabienia sprawianego przepyszną formą efektu. Leniwa akcja, zniwelowanie charakterów do miary zwykłéj pospolitości, 4 (wyraźnie cztery) monologi w jednym akcie, i rozwlekłość deklamowanych djalogów bez szczypty soli atyckiéj i dobrego humoru, utrudniają sztuce téj wejście na deski sceny, któréj warunkom wcale nie odpowiada.

Mniejszą jeszcze nierównie wartość posiada druga komedja tegoż autora p. t.: „Walka stronnictw," którąby właściwie „Walką karykatur" można było zatytułować.

Skarykaturowane charaktery z karczemnym obyczajem, osoby ochrzczone trywijalnemi nazwiskami, prowadzące trywijalniejsze jeszcze a długie do zmęczenia rozmowy, nie mogące się wcale o miano przyzwoitości ubiegać, intryga kończąca się bardziéj niż trywijalnym rozwiązaniem, oto cecha téj pospolitą prozą napisanéj komedji. Zaiste, trudno uwierzyć że wyszła z pod tak znakomitego pióra.

Jeżeli Papa Trąbkiewicz i przyjaciel jego p. Dautoński z jednéj, a Mama Trąbkiewicz z domu hr. Rotomago i baron Rądelkowski z drugiéj strony, mają tu przedstawić ultrasów skrajnych naszych stronnictw; jeżeli córka Trąbkiewiczów Paulina jest tylko maską na twarzy Galicji, to któż jest ów spadający z błękitu namalowanego nieba pan Sielski? . . . . wątpimy, żeby szanowny autor życzył sobie palącą się pochodnię niezgody w tak sielankowym gasić roczynie!

Jeżeli zaś autor zdala od téj myśli chciał tylko odszkicować niedorzeczności do jakich dochodzą sztucznie uformowane nasze niby polityczne stronnictwa, to żałujemy bardzo, że cienko zatemperowane jego pióro łamać się musiało na tak potwornych konturach; a znane z delikatności i elegancji jego poczucie piękna poniżyło się do kompozycji tak ze wszech miar nieszczęśliwéj jak cała ta komedja, a w szczególności owa nocna scena w sypialnym pokoju Pauliny.

Nie dla krytyki lecz dla oddania przynależnego hołdu wspominamy tu o najnowszém dziełku Szanownego prof. *Józefa Kremera*, p. n.: „Kraków w obec Polski i Sukiennice jego, oraz słowo o bramie Florjańskiéj."

„Gdy człowiek przebolawszy okrutne katusze, mówi pan Kremer, omdlewa w niemocy, wtedy przyjaciele jego stojący u łoża boleści pragnąc poznać czyli już skonał, lub czyli jest jeszcze nadzieja ocucenia go do życia, kładą rękę na jego sercu, ażali jeszcze bije." Takim człowiekiem wydanym na męczarnie jest naród Polski, mówi on daléj, a tém sercem wróżbitą jest Kraków nasz stary. — Początek Polski jest zarazem początkiem Krakowa, który w dalszym dziejowym rozwoju dzieli wszystkie koleje nieszczęść i pomyślności całeg kraju, którego był stolicą. W pomyślności jaśniał gród stary wspaniałością, w upadku był środkowym punktem odrodzenia, z nim złączona przeszłość nasza, w nim nagromadzone świetności ojczystéj zabytki, do niego jak Islamita do Mekki ciągną ziomkowie nasi z nad Niemna i Warty, z nad Bałtyku i progów Dnieprowych, jemu zatém i tym zabytkom jakie w sobie chowa, należy się cześć, opieka i pomoc od całego narodu.

Taką jest główna myśl szanownego autora, dążąca do historycznego wykazania ważności i konieczności podtrzymania takich pomników jak np. Sukiennice, kościół Marjacki, Wawel i brama Florjańska. Rzecz cała napisana nad wyraz pięknie i treściwie, a nadto nosi piętno owéj miłości, jaką autor dla kraju i miasta oddycha i jaką się kraj i miasto szanownemu swemu profesorowi odwzajemnia. *O...le.*

Kierujący Redakcją Aleksander Dawidowicz.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski*.

W drukarni „Czasu" W. Kirchmayera. Rządzca drukarni *Józef Łakociński*.